

JERZY ANTCHAK

SERCE CHOPINA

CZYLI WĘZEŁ GORDYJSKI



AXIS MUNDI

JERZY ANTCHAK

SERCE
CHOPINA

CZYLI WĘZEŁ GORDYJSKI



Copyright © 2025 by Jerzy Antczak
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej, Justyna Kobus

KOREKTA: Małgorzata Kłosowicz

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT KOLAŻY ZDJĘCIOWYCH ORAZ KONCEPCJA GRAFICZNA: Jerzy Antczak

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

SKŁAD: Positive Studio

ZDJĘCIA: archiwum prywatne Autora

Wydawca oraz Autor dołożyli wszelkich starań, aby uzyskać wszystkie potrzebne zgody na publikację zamieszczonego w książce materiału – osoby omyłkowo pominięte prosimy o kontakt z wydawnictwem.

WYDANIE II ZMIENIONE

ISBN OPRAWA BR: 978-83-8394-966-6

EAN OPRAWA BR: 9788383949666

ISBN E-BOOK: 978-83-64980-33-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Projekt współfinansowany przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski





SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Część czwarta

Część piąta

Część szósta

Część siódma



MOIM KOCHANYM: JADZI I MIKOŁAJOWI

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYZNANIE

Jest piątek przed północą z dwunastego na trzynastego kwietnia dwa tysiące czternastego roku. Nie mogę usnąć. Przewracam się z boku na bok i po skołatanej łepetynie tłuką się różne myśli. Całe życie opowiadałem historie moich bohaterów głównie poprzez obraz, używając słowa tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne dla jasności sytuacji. Nie jestem powieściopisarzem, a reżyserem scenarzystą. I wyznam szczerze, czytelniku, że teraz przeżywam rozterki. W filmie dysponuję bowiem kamerą, której obiektyw, będąc moimi oczyma, pozwala w jednej sekundzie zamknąć w wyrazie twarzy czy wzroku bohatera niepojęte emocje. Tymczasem w powieści czy nawet krótkim opowiadaniu dla opisanego stanu duszy bohatera czy bohaterki potrzeba kilku, a nawet więcej słów.



Moja przygoda z Chopinem ciągnie się od 1946 roku. To właśnie wtedy w Opolu mój profesor fortepianu, Hieronim Kekiński, któregoś dnia po lekcji podszedł do regału z książkami i powiedział: „Tutaj mam bogatą literaturę dotyczącą Chopina, którą zbierałem całe życie. Gdybyś chciał sobie w tym pogrzebać, czuj się jak u siebie w domu. I zwróć uwagę na Ludwikę, siostrę Chopina. Według mnie jest ona najtragiczniejszą postacią w całym jego życiu”.

Wręczył mi trzy powieści o życiu Chopina: *Słownik*, *Ból pamięci* i *Szepty duszy*, po czym dodał: „Przeczytaj. Ciekawi mnie, co ty o nich myślisz?”.

Książki te napisali obcokrajowcy nieznający polskich realiów. Ludwika została potraktowana w nich marginalnie. Autorzy sprawiają wrażenie,

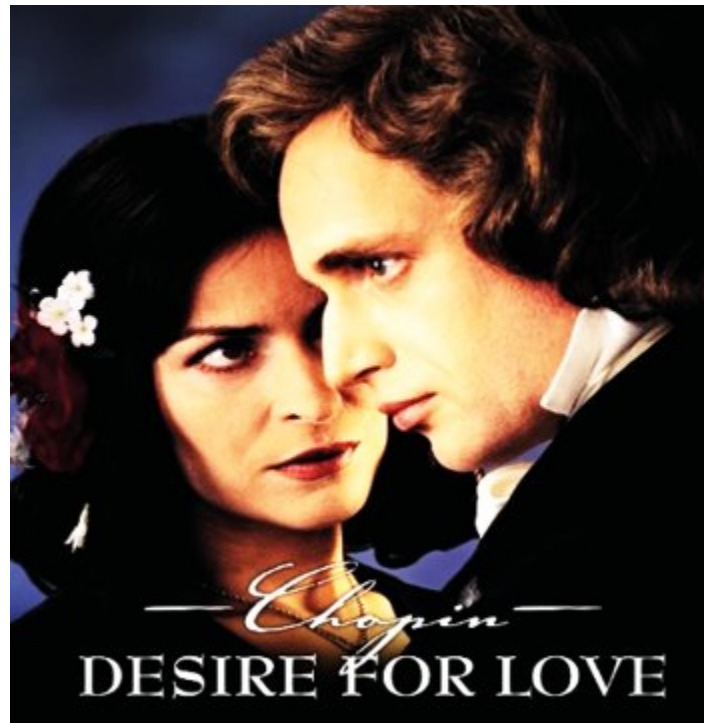
jakby nie rozumieli bogactwa jej charakteru i wagi obecności w najbardziej dramatycznych chwilach życia Chopina.

Moja pasja i zaciętrzewienie wyraźnie przypadły profesorowi do gustu. Wyciągnął z półek dwie biografie Chopina, uważane za kultowe – czterotomowe dzieło Ferdynanda Hoesicka *Chopin: życie i twórczość* i równie opasłe Fredericka Niecksa *Fryderyk Chopin jako człowiek i muzyk*. Wręczając mi książki, profesor powiedział: „Obie prace są bardzo rzetelne. Niestety tak jak wszystkie inne, bagatelizują siostrę Chopina, jej tragiczne życie. A według mnie ona jest kluczem do odczytania tajemnicy Chopina”.

Kilka tysięcy stron połknąłem w ciągu tygodnia. W morzu informacji, wydarzeń i postaci Ludwika była ledwie widoczna, i to mnie bardzo rozdrażniło. Zadałem sobie pytanie, jaki jest powód spychania jej na boczny tor. I nagle załopotało mi w łepety, że Fryderyk Chopin i jego siostra, łącząca ich niezwykła więź – to genialny pomysł na powieść! Może to być coś zupełnie nowego, czego dotąd nikt nie badał wnikliwie, nawet najbardziej uznani przez świat znawcy Chopina.

Postanowiłem napisać tę powieść, o czym powiedziałem profesorowi. Jego reakcja była entuzjastyczna. Udostępnił mi swój bogaty księgozbiór dzieł o Chopinie i jego czasach.

Od września 1948 do kwietnia 1949 roku napisałem około tysiąca stron maszynopisu. Mam go do dzisiaj. Sięgałem do niego, pisząc z Jadzią nasz oryginalny scenariusz do filmu *Chopin – pragnienie miłości*.





Na poprzedniej stronie u góry rysunek Pierre'a-Roche'a Vignerona z 1833 roku. Niżej mój filmowy Fryderyk z chwili, kiedy po występie u baronowej Rothschild otworzyła się przed nim wielka kariera.



Dlaczego więc nie napisałem książki o Chopinie, skoro nagromadziłem tyle cennego materiału nawet na film?

Otóż kiedy w maju 1949 roku miałem już wiele gotowych sekwencji z pełnymi dialogami i przymierzałem się do uporządkowania całości, los gwałtownie zmienił nurt rzeki mojego życia. Zdawałem do Szkoły Aktorskiej i zostałem przyjęty. Chopin poszedł w odstawkę.

Profesor umarł w 1951 roku, kiedy byłem na drugim roku studiów. Po pogrzebie jego żona, pani Zofia, przekazała mi wiele bezcennych biografii chopinowskich z biblioteki męża. Wręczając mi je, powiedziała smutno: „Hieronim całe życie marzył, aby napisać książkę o Chopinie i jego siostrze. I bardzo bolał, że pan przestał się interesować tematem. Ale wierzył, że pan, Jerzy, kiedyś do tego wróci”.

I jak widzisz, czytelniku, słowa te były prorocze. Po niemal sześćdziesięciu latach wracam do tematu. Nie będzie to jednak powieściowa biografia Fryderyka Chopina, tylko reżyserska wizja, opowieść o losach jego serca. Oparta na udokumentowanych faktach, ale rządząca się prawami literatury pięknej. Dająca autorowi ograniczone koncesje na pewne dowolności, a właściwie na interpretację. Zawsze jednak z pełnym poszanowaniem idei.

Wierzę, że znaki zodiaku mają wpływ na charakter człowieka. Zobaczymy więc, co astrologia mówi na temat Barana, bowiem pod tym znakiem urodziła się Ludwika, siostra Chopina.

Otóż Baran jest pierwszym znakiem Zodiaku. Osoby urodzone ze Słońcem w tym znaku muszą być wszędzie i zawsze pierwsze. Nie interesują ich długie rozważania ani planowania. Ważne jest dla nich dziś. Barany mają siłę przebicia, nie ma dla nich rzeczy niemożliwych. Od najwcześniejszych lat wykazują zdolności artystyczne, zwykle muzyczne i literackie.

Najbardziej zżyta z Fryderykiem, Ludwika uczyła go czytania i pisania po polsku i francusku. Była jego opiekunką i powierniczką. Napisała

mazura oraz kilka mazurków. Wrażenia z podróży na Śląsk zapisała w książce *Podróż Józia z Warszawy do wód szląskich przez niego samego opisana*. Opublikowała rozprawkę *O pisaniu dzienników* (w Noworoczniku „Pierwiosnek” 1838). Jak widać, Ludwika była obdarzona talentem literackim. Dlaczego więc nie mamy nigdzie śladu zapisu jej spojrzenia na życie Chopina? Przecież nikt inny z rodziny nie był tak blisko niego. W czasach młodości, do chwili wyjazdu z kraju, a potem od sierpnia 1849 roku do siedemnastego października, kiedy towarzyszyła bratu w jego ostatnich chwilach, spędzając z nim wiele godzin na rozmowach. Były to niezgrabne słowa pociechy, wspomnienia, czasem kłamstwa, których tak pragnie chory człowiek. Słuchała jego ostatnich wynurzeń i prośb, kiedy pogodzony ze śmiercią był do bólu szczery. Wreszcie, opuszczona przez męża, zdana tylko na pomoc przyjaciół, znosiła trudy pogrzebu i porządkowania schedy po zmarłym.

A zatem mogłaby napisać o nim przejmującą książkę, stawiając tamy plotkom i wymysłom, którymi naszpikowane jest życie jej wielkiego brata. Dlaczego więc nie pozostawiła po sobie literackich śladów? To pytanie zaintrygowało mnie. Postanowiłem znaleźć na nie odpowiedź.

Jak wynika z listów do Ludwiki, likwidującej w Paryżu wszystkie sprawy Chopina, Kalasanty dyktował jej arbitralnie każdy krok. Nie mógł być więc zadowolony, że przywiozła do Warszawy serce brata, nie prosząc go o zgodę. Nietrudno zatem sobie wyobrazić, co się działo w domu, kiedy Kalasanty zobaczył słój z sercem Fryderyka. Potem dowiedział się jeszcze, że Ludwika zamierza starać się o umieszczenie tej narodowej relikwii w kościele Św. Krzyża. Bez wątpienia obawiał się, że może to zaszkodzić jego sprawie.

W jaki sposób subtelna, wrażliwa Ludwika potrafiła przeciwstawić się brutalności i agresji męża? Dałem profesorowi do przeczytania rezultaty

moich poszukiwań i sensacyjne odkrycia „drugiego dna duszy Kalasantego”. Uznał je za rewelacyjne i wręczył mi kilkanaście kartek. Oto jego komentarz:

Daję ci najbardziej wiarygodny opis wydarzeń, dotyczących losów serca Chopina oraz gehenny, przez jaką przeszła jego siostra. Autorem tych notatek jest ksiądz Eligiusz Sotkiewicz, proboszcz kościoła Św. Krzyża w Warszawie, przyjaciel Justyny Chopin i Ludwiki.

Był nie tylko ich spowiednikiem, ale powiernikiem duszy w najtrudniejszych chwilach życia. Jako postulator w przewodzie, który miał przekonać kurię biskupią, że Chopin, choć nie był świętym, zasługuje na to, aby jego serce było umieszczone w górnej nawie kościoła, zarezerwowanej dla świętych, przeprowadził dużo rozmów nie tylko z Justyną Chopin i Ludwiką, ale i pozostałymi członkami rodziny, jak również z przyjaciółmi.

Rozmawiał z tymi, którzy bezgranicznie kochali Chopina, widząc w nim geniusza pozbawionego wad, ale nie stronił od tych, którzy oceniali go krytycznie, dostrzegając, a nawet wyolbrzymiając wszystkie przywary człowieka poddanego pokusom. I wreszcie jako postulator zmierzył się z lustratorem, który w finale procesu bez litości wyciągał wszystkie negatywne cechy Chopina, uciekając się do najpodlejszych chwytów.

Zapisy tych rozmów nie zostały dotąd udostępnione światu. Słowa księdza Eligiusza Sotkiewicza, jako naocznego świadka wydarzeń, są dokumentem pokazującym bezwzględność „obrońców wiary” w całej jej grozie, nieodbiegającą od palenia na stosie, zsyłając do niebytu.

W głębokim poczuciu misji człowieka i kapłana, który dla przekazania prawdy nie może pominąć żadnego źródła, ksiądz Sotkiewicz sięga niekiedy do tajemnicy spowiedzi. Za swojego życia, pod groźbą ekskomuniki, nie

mógł opublikować tego dokumentu. Jego uczciwość kazała mu jednak sporządzić taki zapis dla potomnych.

Moja matka jest z rodu Sotkiewiczów i ten dokument był przechowywany w jej rodzinie jak relikwia. Może właśnie Bóg tak zrządził, abyś ty zrobił to, o czym marzył ksiądz Sotkiewicz – ujawnił światu prawdy tragedii Ludwika i dramatycznych losów serca Chopina.

Jak dotąd prawie żaden z biografów nie zbadał tego problemu, traktując go jako marginalny. Z różnych względów: jedni z lęku przed wszechmocą Kościoła, inni z braku talentu, który nie pozwalał im dostrzegać prawd, jak w wypadku Kalasantego, schowanych bardzo głęboko przed oczyma ludzi.

Jest to biały kruk, chowałem go na koniec, wierząc, że twoja kwerenda przyniesie rezultaty, choć nie przypuszczałem, że zajdziesz tak daleko i głęboko.

Życzę ci powodzenia, Jurku!

Mam przed sobą kilkadziesiąt kartek, gęsto zapisanych, w których kryje się dramat serca Chopina i walki Ludwika o jego miejsce w górnej nawie kościoła. Przeczytałem je z wielkim wzruszeniem. Uznałem, że ksiądz Sotkiewicz, wieloletni przyjaciel domu Chopinów, wciągnięty w pasmo ich rodzinnych dramatów, a zwłaszcza Ludwika, jako jej spowiednik, znał najbardziej czułe i delikatne sprawy jej życia. A zatem może być narratorem całości powieści.

Ale po kilku przymiarkach doszedłem do wniosku, że wiedza księdza dotyczy głównie losów Ludwika i kręgu jej rodziny. Tymczasem przeciw siostrze Fryderyka, walczącej o spełnienie ostatniej prośby brata, stała grupa wrogów, do których ksiądz Sotkiewicz nie miał bezpośredniego dostępu. Musiałem znaleźć więc jeszcze jedno źródło, które pozwoliłoby mi

penetrować motywy działań przeciwników nie tylko Ludwika, ale i tych wszystkich, którzy sprzyjali Fryderykowi.

Po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że używając księdza Sotkiewicza jako narratora wydarzeń, będę go musiał wspierać swoją obecnością. Moja źródłowa wiedza i wyobrażenia uzupełnią to, czego nie jest w stanie przekazać ksiądz Sotkiewicz. On jako naoczny świadek wie, jak było naprawdę. Ja jako autor mogę przewidywać, jak mogło być i jakie padały wówczas słowa. Postanowiłem zatem dzielić rolę narratora z księdzem Sotkiewiczem. Pozwolę go sobie przedstawić.

Wstęp do swoich notatek ksiądz Sotkiewicz zatytułował *Moje słowa prawdy*. A oto, co w nich napisał:

Jest Rok Pański 1875. Mam osiemdziesiąt pięć lat, z czego sześćdziesiąt spędzonych w kapłaństwie. Długi czas byłem proboszczem kościoła Św. Krzyża w Warszawie. Do osiemdziesiątego trzeciego roku życia prezentowałem się jako okaz zdrowia. Niestety ostatnio zacząłem podupadać mocno na zdrowiu i chyba przyszła pora zacząć pakować się do podróży.

Całe życie należałem do grona niepokornych sług Kościoła, przywykłych mówić głośno to, co myślę. W związku z tym byłem na bakier z kurią biskupią. Hierarchowie nawoływali mnie pod groźbą ekskomuniki do poskramiania ostrego języka. Głównie jednak chodziło o Krzyż Orderu Virtuti Militari, który nosiłem na piersi sutanny, co rzekomo było niezgodne z kościelnym regulaminem. Nakaz ten był naciągnięty przez władze kościelne w celu przypodobania się władzom Królestwa Polskiego, które będąc z rosyjskiego nadania, tępiły, gdzie mogły, symbole związane z powstaniem listopadowym 1831 roku.

Jako kapelan polowy Pierwszego Pułku Strzelców Pieszych brałem udział w bitwie pod Olszynką Grochowską, gdzie pod gradem artylerii rosyjskiej wynosiłem z pola bitwy ciężko rannych, a nawet umierających, aby odeszli wśród swoich. Za wyczyn ten zostałem odznaczony Virtuti Militari. Z pułkiem przebyłem całą kampanię bojową.



Tyle o przeszłości księdza Sotkiewicza. Teraz powinniśmy przejść bezpośrednio do reżyserskiej wizji.

Dlaczego akurat „węzeł gordyjski?” Węzeł gordyjski jest to kunsztownie zawiązany lub bardzo splątany węzeł z dereniowego łyka. Połączone nim było jarzmo i dyszel starego królewskiego wozu – daru

wotywnego, umieszczonego przez frygijskiego króla Gordiasa lub jego syna i następcę Midasa w świątyni Zeusa w Gordionie we Frygii. Wedle przepowiedni człowiek, który rozplącze węzeł, zostanie panem Frygii lub – według innych wersji – całej Azji.



W 333 roku przed naszą erą Aleksander Macedoński przybył do Gordionu i dowiedział się o przepowiedni. Ponieważ w tym czasie przewodził podbojowi imperium perskiego, postanowił rozwiązać węzeł, by udowodnić, że to on jest tym, który zdobędzie Azję. Według najpopularniejszej legendy Aleksander, gdy zorientował się, że nie rozplącze węzła w sposób konwencjonalny, dobył miecza i po prostu go przeciął. Według innej – wyciągnął dyszel, rozłączając w ten sposób części wozu.

Współcześnie „węzeł gordyjski” oznacza skomplikowaną, trudną lub niemożliwą do rozwiązania sytuację. Określenie „przecięcie węzła gordyjskiego” stało się natomiast synonimem rozwikłania takiej sytuacji posunięciem nie zawsze trzymającym się reguł. Jako autor tej opowieści nie będę, wzorem Aleksandra Macedońskiego, brutalnie rozcinał gordyjskiego

węzła, a zadam sobie modlitewny trud jego rozplątania. I jeżeli znalezienie odpowiedzi, dlaczego Ludwika nie napisała książki o swoim wielkim bracie, jest zadaniem bardzo trudnym, to równie trudnym, niemal niemożliwym, jest dotarcie do duszy Chopina, o której Liszt w swojej biografii napisał tak:

(...) trudno określić stopień jego wewnętrznych irytacji. Choć mogły być bardzo bolesne, nigdy nie ujawnił ich temperatury. Sekrety wewnętrznych wzburzeń ukrywał przed wścibskim wzrokiem. Pokrywał je nieprzenikalnym całunem pogody i wyniosłej obojętności. Podejrzewam, że nawet jego najbliżsi nigdy nie dostali się do wnętrza twierdzy, w której mieszkała odgradzona od codziennego życia dusza. Forteca, w której się ukrył, wchłonęła go tak głęboko, że nie sposób powiedzieć, czy kiedykolwiek istniał fizycznie jako człowiek.

Autorem zdjęcia jest najwybitniejszy fotograf epoki, L.A. Bisson. Było zrobione w lutym 1849 roku, tego samego dnia, kiedy po nieudanym pobycie w Anglii Chopin wrócił do Paryża schorowany, psychicznie zdruzgotany. Aby utrwalić jego wizerunek na kliszy, przyjaciele zaciągnęli go do Bissona.

Jak się przebić przez ścianę tej twierdzy? I tutaj chyba znalazłem trop. Otóż w budowaniu osobowości Chopina istnieje pięć prawd bezspornych. Pierwsza to dorobek muzyczny, druga listy, które są bogatym źródłem jego duchowego świata. Zaś pozostałe trzy to dwa zdjęcia oraz maska pośmiertna. Są to najbardziej widoczne i jedyne wizualne ślady jego fizycznej obecności na ziemi. Reszta jest formą domysłów, interpretacji! A najczęściej – konfabulacji!!!



Ludwika, siostra Chopina, przyjechała w sierpniu 1849 roku do Paryża. Do siedemnastego października, a więc do śmierci brata, czuwała przy jego łóżu, aby potem zająć się pogrzebem, porządkowaniem jego spraw materialnych, wreszcie przemycić do kraju jego serce z zamiarem umieszczenia urny w górnej partii kościoła.

Zetknęła się z Bissonem następnego dnia po śmierci Fryderyka. Uparł się, aby go uwiecznić na łóżu śmierci. W niszy było za mało światła. Błagał o przesunięcie zwłok pod okno. Nie zgodziła się, nie chciała go pamiętać umarłym!

Spójrzmy uważnie na omawiane zdjęcie. Patrzy na nas cierpiący człowiek bez nadziei. Smuga cienia na twarzy, opuchnięty nos, obrzęki pod

oczyma, obwisy. I oczy pełne żalu. I jeszcze ręce... W białych, chopinowskich rękawiczkach, złożone bezradnym ruchem na krzyż, zdają się mówić „To już koniec!”. Trzymała to zdjęcie w szufladzie z karteczką, na której napisała: „Jakie to szczęście, że mama nie była świadkiem jego cierpień. A tego zdjęcia nie pokażę jej nigdy. Matka powinna pamiętać syna takim, jakim chce go widzieć jej miłość. Nie wolno ludzi obdzierać z iluzji!”.

To zdjęcie to dagerotyp z roku, kiedy sztuka fotograficzna była dopiero na drodze do pełni wyrazu, który już widzimy u Bissona. Chociaż obraz jest bardzo niedoskonały, nietrudno zauważyć wszystkie cechy wytworności Chopina. A więc idealnie skrojony frak, misternie uwiązany fular, układ ciała, piękny zarys kształtu głowy z wydatnym chopinowskim nosem.



Po śmierci Chopina powstało morze publikacji usiłujących rozwikłać złożoność jego charakteru, odkryć ukryte na dnie duszy tajemnice, ale nikt poza Lisztem w jego książce *Fryderyk Chopin* nie ujął bardziej przekonująco jego wyglądu:

Ufryzowane włosy miały jedwabistą fakturę. Nos odrobinę zakrzywiony. Jego zachowanie i wytworne maniery naznaczone były taką dystynkcją, że musiano traktować go jak księcia. Wzrostu średniego. Członki ciała wątłe. Przypominał powój trzymający w równowadze na niezwykle smukłej łodydze bosko ukolorowany kielich, którego tkanka jest tak delikatna, że

najdrobniejszy kontakt z nią może zranić, a nawet rozerwać mglistą koronę płatkową.

I na koniec maska pośmiertna Chopina. Jej rigor mortis jest porażający w swojej sile wyrazu i stanowi bolesny kontrast do obu zdjęć Chopina zrobionych za jego życia, kiedy stając przed obiektywem kamery, mógł decydować o emocjach. Maska pośmiertna ma w sobie nieubłaganą prawdę, że powstając poza świadomością bohatera, zdana jest na fakturę gipsu, który zalewa twarz.



A teraz krótko o dramatycznych okolicznościach powstania tej maski. Następnego dnia po śmierci Fryderyka Solange i Clésinger zwrócili się do Ludwika z prośbą o zgodę na odbicie gipsowej twarzy Fryderyka oraz jego obu dłoni. Procedura zdejmowania maski jest przykra. Szczególnie chwila, kiedy na twarz zmarłego wylewa się gips i potem czeka, aż okrzepnie. Niestety rezultat okazał się gorzej niż tragiczny. Odlana maska ukazywała męczarnie agonii Fryderyka, czego nie było widać gołym okiem. Wyraz twarzy zmarłego był przerażający.

Ludwika straciła kontrolę nad nerwami i dostała ataku hysterii. Krzyczała, przeklinała, płakała i gdyby nie czułość i perswazja księżnej Czartoryskiej i Grzymały, którzy wyblągali, aby wyraziła zgodę na wyretuszowanie odlewu, jak chciał Clésinger, maska Fryderyka zostałaby na jej rozkaz zniszczona na zawsze! Ponieważ gipsowy odlew maski wywoływał uczucie smutku, Teofil Kwiatkowski, wybitny malarz, wielki przyjaciel Chopina, wykonał kilka kolorowych szkiców jego głowy spoczywającej na śmiertelnym łożu. Kolorowe ryciny wykonane z wielką starannością przyciągają uwagę, ale gubią ów rigor mortis, który jest cechą szczególną ostatniego wizerunku Chopina, zastygłego w gipsie. Czarno-biała rycina na kamieniu, wykonana przez wybitnego rzeźbiarza Bolesława Podczaszyńskiego według jednego z rysunków Teofila Kwiatkowskiego, łączy ze sobą piękno i dostojność rigor mortis.



Ten portret Ary'ego Scheffera jest uznawany przez wielu za najwybitniejszy. Jest to rok, kiedy Fryderyk szybkimi krokami zbliżał się

do śmierci.

Kwiatkowski, serdeczny przyjaciel Chopina, zwany również pierwszym portrecistą mistrza, był częstym gościem w jego domu i świadkiem śmierci.



Bogata twórczość Kwiatkowskiego obejmuje kameralne szkice portretów. Z około 1843 roku pochodzi jeden z najlepszych, jakie powstały za życia Chopina, malowanych również przez wielu innych malarzy. Chopin był bardzo trudnym modelem – niecierpliwy, wymagający, peszący często malującego swoim stylem bycia. Wieczory, jakie Kwiatkowski spędzał w domu Chopina, jego przyjaźń i otwartość Fryderyka zostały

zarejestrowane w tym portrecie. Kwiatkowski wejrzał w duszę naszego kompozytora, tworząc dzieło genialne pod względem wyrazu i formy.

A oto opis Elizawieety Szeremietiewej.

Niedużego wzrostu, szczupły blondyn, ma szare, dość duże oczy, wydatny nos, małe usta z wyrazem zdradzającym cierpienie... wysokie białe czoło. Zmarszczki przy ustach nadają twarzy gorzki wyraz. Gdy się uśmiecha, można odczuć, że ten człowiek cierpiał...



*Widok Krakowskiego Przedmieścia ku Ulicy Nowy Świat. | Vue du Faubourg de Cracovie vers
la Rue du nouveau Monde
w Warszawie. a l'avenue des Galeries Rue Senatskie N° 496.*

1. „Widok Krakowskiego Przedmieścia ku Ulicy Nowy Świat w Warszawie”
Mieszkanie Chopinów przy Krakowskim Przedmieściu N° 410
(Lewy pawilon pałacu jen. Wincentego Krasińskiego, drugie i trzecie piętro)
Akwatinta Fryderyka Krzysztofa Dietricha



DALEJ NIŻ NIENAWIŚĆ

Józef Kalasanty Izajasz Franciszek Jędrzejewicz ormiańską krew i urodę odziedziczył po ojcu. Głowa kształtna, dominuje w niej hebanowa czerń gęstych włosów. Cera śniada, nos lekko zakrzywiony, zjadliwe oczy zdradzające pewność siebie i arogancję, którą Kalasanty starannie ukrywał, a raczej kontrolował. W 1832 roku poślubił starszą siostrę Fryderyka Chopina, Ludwikę.

Był czerwiec 1849 roku. Czując, że jego dni są policzone, Fryderyk pisze do Ludwiki list. Pod jej nieobecność przejmuje go Kalasanty.

Szarpany zawiścią do Chopina z powodu jego sławy przetrzymuje go kilka tygodni. Trzepiąc surdut męża, Ludwika przypadkiem znajduje kopertę.

Stojąc na środku salonu Justyny Chopin, trzymając surdut w prawej dłoni, Kalasanty ryczał tubalnym głosem:

– Jak miałaś odwagę wkładać pazury do cudzej kieszeni? To jest nikczemność! Za takie czyny zakuwa się przestępców w dyby!

Zwrócił się do stojącej obok Justyny Chopin:

– I niech mi mama powie, co mam zrobić z jej córką? Podać do publicznej wiadomości, że moja żona popełnia czyny kryminalne? Przecież tego wybaczyć nie można!

– List od Fryderyka znalazłam w kieszeni twojego surduta...

Kalasanty zaskoczony zamilkł.

Trzymając list od Fryderyka w dłoniach, Justyna podeszła do niego. Miała siedemdziesiąt lat, ale wyglądała młodziej. Aksamitna karnacja twarzy, nos z lekkim garbkiem, gęste włosy przyprószone siwizną, upięte w grecki węzeł. Niebieskie oczy o łagodnym spojrzeniu.

– Czekałam, tak jak Ludwika, na list od Fryderyka. Zamartwiałam się, dlaczego nie pisze. Mordowałam naszego listonosza, czy aby uważnie sprawdzał, bo czasami można przeoczyć ważny list. Odpowiedział mi bez wahania: „Pięć tygodni temu pan sędzia Jędrzejewicz odebrał list od pana Fryderyka”. Kalasanty, dlaczego zataiłeś przed nami ten list?

Spojrzała na zięcia z pogardą, po czym zaczęła czytać.

– *Moje Życie, jeżeli możecie, to przyjedźcie. Słaby jestem i żadne doktory mi tak jak Wy nie pomogą. Jeżeli pieniędzy Wam brak, to pożyczcie. Jeżeli będzie lepiej, to łatwo zarobię i oddam temu, kto Wam pożyczy. Ale teraz zbyt goły jestem, żeby Wam posyłać.*

Kalasanty skrzywił się.

– Dobrze! Godzę się na wyjazd. Ale pod warunkiem, że matka Chopina opłaci twoje koszty. Ja moje i Ludki.

Justyna z trudem opanowała emocje.

– Bardzo bym chciała być w tych ostatnich chwilach Fryderyka przy nim. Ale nawet jeżeli sprzedam zaręczynowy pierścionek od twojego ojca, Ludwiko, oraz wyciągnę oszczędności przeznaczone na czarną godzinę, będzie za mało, aby pojechać do Fryderyka całą rodziną. Jako najstarsza z rodzeństwa jedź ty, Ludwiko, z mężem. I bądźcie z naszym dzieckiem do samego końca.

Kalasanty warknął szorstko:

– Otrzymanie paszportu w krótkim czasie będzie niemożliwe. Car nie zapomni Fryderykowi odmowy przyjęcia stanowiska pierwszego pianisty petersburskiego dworu.

Ludwika patrzyła na niego z pogardą. Jej pociągła, blada twarz i orli „chopinowski” nos zdradzały pokrewieństwo z Fryderykiem. Czarne, kręcone włosy opadały po obu stronach głowy. Piuwe oczy miały w sobie wszystkie cechy zodiakalnego Barana: twardość i nieustępliwość. Powoli cedziła słowa:

– Księżna Obreskow jest w Warszawie. Chce się ze mną zobaczyć. Wierzę, że ona mi pomoże.



W tym czasie namiestnikiem Królestwa Polskiego był Iwan Fiodorowicz Paskiewicz. O jego okrucieństwach krążyły legendy, przydające mu cech psychopaty. Tymczasem jego szlachetne rysy i łagodność twarzy zaskakiwały. Siedział wyprostowany, a jego długa szyja zdawała się wyskakiwać z jarzma wysokiego kołnierza, ozdobionego złotym szamerunkiem. Po drugiej stronie jego biurka zasiadła księżna Obreskow, zjawiskowej urody kobieta o nieskalanym profilu i wielkich, szklistych oczach. Trzymała w drżących dłoniach list od Fryderyka. Mówiła cichym głosem:

– Fryderyk Chopin umiera w Paryżu. To jest jego list do rodziny.

Namiestnik wziął kartkę w dłonie. Zaczął czytać. Podniósł wzrok i popatrzył na księżną. Piękna kobieta wyraźnie go podniecała.

– To bardzo smutny list... – Wyciągnął z szuflady grubą teczkę, położył na blacie stołu. – Tutaj są raporty naszych służb specjalnych, które całe lata śledziły i spisywały przewinienia pana Chopina wobec Imperium Rosyjskiego. Czy pozwoli księżna, że przeczytam jeden z raportów?

Księżna odpowiedziała gorliwie:

– Oczywiście...

Namiestnik czytał. Głos miał niski, donośny.

– Raport numer sto sześćdziesiąt trzy. Rok 1835. W Paryżu ma miejsce wydarzenie, którego bohaterem jest szwagier niejakiego Kalasantego Jędrzejewicza, męża starszej siostry Chopina Ludwiki. Otóż ksiązę Pozzo di Borgo, ambasador Rosji we Francji, w imieniu cara Mikołaja I zaoferował temu słynnemu pianiście pozycję pierwszego pianisty carskiego. – Spojrzał w oczy księżnej. – Przechodzę teraz do grzechu umierającego autora listu. Otóż na pytanie Włocha: „O ile wiem, nie brał pan udziału w tej awanturze 1831 roku przeciwko Rosji?” Chopin odpowiedział: „To nie była awantura! To był zryw narodu polskiego o odzyskanie niepodległości. Niestety los nie pozwolił mi walczyć, a nawet umrzeć na polu bitwy. Ale całym sercem byłem z tymi, którzy walczyli. Ambasadorze, proszę od tej chwili uważać mnie za uchodźcę politycznego”.

W oczach Rosjanina zapaliły się ognie.

– W 1831 roku stłumiłem krwawo awanturę, którą Chopin nazywa zrywem narodu polskiego. Przyznaję – zalałem Polskę morzem krwi. I właściwie jako „kat” powinienem do prośby o paszport odwrócić się plecami, ale nie zrobię tego. Po pierwsze, wzruszyła mnie treść listu tego biedaka, a po drugie... kocham jego muzykę.

Księżna złożyła ręce jak do modlitwy. Ale nim wypowiedziała słowa podziękowania, namiestnik położył palce na ustach i wyszeptał:

– W liście Chopin użył takiego pięknego zwrotu: „Wszakże i cyprysy mają swe kaprysy; moim kaprysem jest Was tu widzieć”. – Uśmiechnął się do księżnej. – Moim kaprysem jest wydać te paszporty!

Nie spuszczał z niej pożądliwego spojrzenia, sięgnął po pióro. Napisał: „Wydać paszporty”.

Księżna posłała mu uśmiech wdzięczności, a on był coraz bliżej niej. Niemal dotykał wargami jej twarzy.

SALONY FRYDERYKA

Ludwika jechała do brata koleją żelazną, a nie, jak dotąd, dyliżansem. Ten nowy rodzaj podróży gwarantował znacznie szybsze dotarcie do celu oraz komfort jazdy.

Kalasanty przez całą podróż był nadęty i obrażony. Po zajęciu miejsc w przedziale poinformował żonę:

– Myślę, że w Paryżu nie przykleisz dziecka do łóżka twojego brata. On już wziął swoje od życia. Ludkę trzeba oprowadzić po muzeach. Zaprowadzić do pracowni Clésingera. I w ogóle, jak tylko będzie można, oszczędzić dziecku widoku człowieka pluącego krwią.

Ludwika z bólu przygryzła usta. Ludka przytuliła się do ojca i pocałowała go w policzek.

Pociąg spóźnił się. Fryderyk z Albertem Grzymałą czekali kilka godzin na dworcu d’Orsay. Noc była wilgotna, powietrze przejmuje do szpiku kości. Fryderyk przyszedł w cienkim palcie, skurczony. Trzymała go w ramionach, ale bała się przycisnąć mocniej, aby nie przebić na wylot. Był chudy jak szkielet. Kalasanty – hipochondryk, panicznie bał się kontaktu z ludźmi chorymi, nie przyjął więc otwartych ramion Fryderyka.

Bogactwo i przepych mieszkania drażniły Kalasantego. Nie kryjąc zawiści, podszedł gwałtownie do oszklonej komody, gdzie leżały osobiste drobiazgi Fryderyka. Uwagę zwracały spinki do gorsu. Wytworne, w formie małych perełek na złotych podstawkach.

– A te perły to prawdziwe?

– Oczywiście – zaśmiał się Fryderyk. – A ten złoty serwis do kawy to od króla Ludwika Filipa.

Kalasanty podniósł spodeczek i przeczytał dedykację:

– „Fryderykowi Chopinowi król Filip”.

Trzymając filiżankę w rękach, Kalasanty powiedział:

– Gdyby to upłynnić, można by zebrać jak nic kilka tysięcy franków.

– Sprzedać? Pamiątki, prezenty? O czym ty mówisz? – Fryderyk podszedł do lektyki, stojącej w rogu pokoju. – Nie lubię tego grata. W tej lektyce wnoszą mnie po schodach na górę. Jakie to szczęście, że już nie jestem sam ze swoimi myślami.

Wieczorem w sypialni Kalasanty warknął:

– Widziałaś? Każe się nosić w lektyce jak papież albo król! Poczekaj, będziesz mu uprzątać nocniki i wycierać nos, jak się posmarka. W liście napisał, że jest goły, a tu gdzie nie spojrzeć tysiące franków w złocie!

Fryderyk co chwila mówił do Ludwika:

– Ludwiko, chodź do mnie, muszę z tobą porozmawiać...

Wybudzony ze snu Kalasanty pomstował ordynarnie:

– Noc jest od spania, a nie od wysłuchiwania bredni!

Ludwika odprowadzała Fryderyka do jego sypialni i wysłuchiwała zwierzeń. W większości były to czarne myśli.

Kalasantego najbardziej drażniło to, że Fryderyk ciągle biegał do siostry z plwociną w szklanych naczyniach i kazał sprawdzać, czy są tam ślady

krwi.

– Zobacz... zdaje się, że w plwocinie pojawiła się krew.

Ludwika widziała drobne plamki, ale odpowiadała spokojnie:

– To twoja wyobraźnia każe ci widzieć krew.

Następnego ranka podczas śniadania Fryderyk, trzymając w dłoniach filiżankę, podenerwowany zwrócił się do Ludwiki:

– Kto kazał pozaznaczać filiżanki?

– Ja – odpowiedział arogancko Kalasanty. – Żebym wiedział, z których naczyń jadam i piję. Nie chcę, byśmy z żoną i dzieckiem umarli na to samo, co ty.

Ludwika krzyknęła rozpaczliwie:

– Licz się ze słowami!

– Zamknij pysk! – ryknął Kalasanty. Podbiegł do Fryderyka. – Jak ci nie wstyd okłamywać rodzinę, że jesteś w biedzie? Wystarczy sprzedać trochę tych gratów. Wynająć kilka pielęgniarek, a nie maltretować po nocach rodzoną siostrę!

Fryderyk szarpnął Kalasantego za ramię.

– Nie masz prawa obrażać mojej siostry! I wynoś się z mojego domu!

Kalasanty następnego dnia spakował walizy i przygotował się do wyjazdu. Fryderyk z Ludwiką próbowali go zatrzymać.

– Kalasanty, zostań. Błagam cię ... – mówił Fryderyk.

– Nie dotykaj mnie! – odwarknął groźnie Kalasanty.

Ludwika wraz z córką zostały w Paryżu z umierającym. Od chwili wyjazdu męża do śmierci Fryderyka pozostało siedemnaście dni. Oczywiście nasuwa się pytanie, co się w tym czasie działo w duszy Ludwiki. Zwłaszcza że narzucane przez stulecia obyczajowe rygory nakazywały żonie ukrywać rodzinne brudy w domowym zaciszu. Z takim

kagańcem na ustach było nie do pomyślenia, by mogła komukolwiek ujawnić prawdziwe powody haniebnego czynu męża. Pozostała więc w Paryżu, okaleczona dwoma wyrokami – wyrokiem śmierci na brata, którego agonię miała oglądać niemal minuta po minucie, oraz wyrokiem milczenia, zakazującym na okazanie bólu komukolwiek.

Skąd u Kalasatego takie okrucieństwo? Jako sędzia pokoju musiał budzić społeczne uznanie, ponieważ o wybieralności na to stanowisko decydowała nieskalana reputacja. Skąd więc ta bezwzględność, aby zostawić żonę na pastwę losu?

Pamiętajmy też o tym, że był prawnikiem. Człowiekiem, który wiedział, że prawo jest jak guma i można je naciągać do woli. Aby zamazać ślady swojego okrucieństwa w stosunku do żony i umierającego Chopina, wiedząc, że księżna Marcelina Czartoryska, jedna z ukochanych uczennic Chopina, nie opuści Ludwiki w trudnych dniach, na pewno odbył z nią rozmowę, ukrywając prawdziwe powody swojego nagłego wyjazdu.

KŁAMSTWA KALASANTEGO

W mieszkaniu Justyny Chopin późnym wieczorem rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Justyna przyłożyła ucho do drzwi.

– Kto tam?

– To ja. Kalasanty.

Otworzyła drzwi. Kalasanty niemal wtargnął do mieszkania.

– Gdzie są dzieci?

– Henryk i dwoje najmłodszych śpią.

– To niech mama je budzi. Zabieram je do siebie.

Justyna wyszła, a po chwili wróciła z dziećmi. Dwoje najmłodszych to sześciolatek Antoni i dziesięcioletni Bolesław. Trzeci syn Ludwiki,

osiemnastoletni Henryk – wysoki, dobrze zbudowany, o czarnych, gęstych włosach, przypominał ojca. Justyna podprowadziła ich w stronę Kalasantego. Henryk poszedł za nią. Justyna, ciągle trzymając ręce na ramionach wnuków, spytała przez ściśnięte gardło, jakby się bała usłyszeć prawdę:

– Wróciłeś? Dlaczego?

– Dlatego że twój syn kazał mi opuścić swój dom.

– Kalasanty... Na miłość Boską... Co się stało?!

– Twój syn zachował się wobec mnie jak ordynarny cham. A twoja córka jest u niego za posługaczkę, którą budzi dziesięć razy w ciągu nocy i potem trzyma przy łóżku do białego ranka!

– Ludwika po to pojechała, aby złagodzić jego cierpienia...

– Zamiast mnie bronić, wzięła jego stronę!

Justyna, dygocąc z oburzenia, zwróciła się do wnuków:

– Dzieci, ojciec chce was widzieć u siebie.

Podeszła do Kalasantego. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Jak mogłeś zostawić żonę z moim umierającym dzieckiem? Ale niech cię za to osądzi Bóg!

Pycha nie pozwalała Kalasantemu odejść przegranym. Wylewnym gestem objął najmłodszych synów za ramiona. Skinął głową w kierunku Henryka:

– Tam w domu wszystko ci wyjaśnię.

Po niespełna kwadransie był już w swoim mieszkaniu na Podwalu, gdzie w salonie siedział Benon, brat Kalasantego, łudzaco do niego podobny.

Wziął Henryka w ramiona. Potrząsnął nim mocno.

– Poczyniłem już pewne kroki, aby ci zabezpieczyć miejsce w Pułku Huzarów Imienia Jego Cesarskiej Wysokości, Arcyksięcia Ludwika Austriackiego. Dostaniesz się tam za specjalną protekcją przyjaciół twojego ojca.

Henryk milczał. Kalasanty objął go.

– Zaraz ci wytłumaczę, dlaczego musiałem opuścić Paryż. Ale najpierw zajmę się twoimi braćmi.

Zaprowadził chłopców do sypialni. Pomógł im się rozebrać, a potem położył ich główki na poduszkach. Ucałował policzki dzieci, następnie cichutko, na palcach wrócił do salonu.

Henryk ponuro patrzył w podłogę. Benon również był milczący.

Kalasanty rozpoczął tyradę, jak na rozprawie w sądzie.

– Gruźlica jest to okrutny zabójca. Mogło się zdarzyć, że któreś z nas przez przypadek skorzystałoby z naczynia używanego przez twojego wujka. Aby ograniczyć możliwość zarażenia się śmiertelną chorobą, kazałem oznaczyć nasze filiżanki i talerze. Kiedy twój wuj to zobaczył, ryknął: „Kto kazał to zrobić?”. Odpowiedziałem, że ja. Gdy pytał, dlaczego to zrobiłem, wyjaśniłem: „Abyśmy wszyscy wiedzieli, z jakich naczyń pijemy i jadamy”. Potem Fryderyk dostał ataku kaszlu i parsknął mi w twarz śliną pełną krwi: „Brzydzisz się moją chorobą, tak?”. „Tak. Brzydzą się!” Zaczął krzyczeć: „Kim ty jesteś, Kalasanty? Marnym sędzią pokoju. Kto ciebie zna? Jesteś małe, prowincjonalne gówno!”. Takimi słowami obraża mnie człowiek, u którego stóp klęczy cały Paryż, co jest wynikiem jego umizgów. Bo twój wuj, jak chce, potrafi być miły jak łasica! – Podszedł do Henryka. – On kończy swoje życie, które przetańczył w salonach Paryża. Opuściłem Paryż po to, by jego śmiertelna choroba nie przeniosła się do naszego domu.

Henryk z trudem tłumił łzy.

Następne dni były dla niego pasmem cierpień. Godzinami siedział na brzegu łóżka, zapatrzony ponuro w podłogę.

Któregoś dnia Kalasanty wdarł się do jego pokoju. Potrząsał trzymanym w rękach listem.

– Twojego wuja już nie ma. To jest list od księżnej Marceliny Czartoryskiej z krótkim dopiskiem twojej matki. Píše mi tylko dwa słowa. Idę do twojej babki, przekazać jej treść tego listu. Pójdiesz ze mną. Chcę, żebyś był świadkiem mojej rozmowy.

Kalasanty z kamienną twarzą wręczył Justynie list.

– To pismo jest adresowane do mnie, ale niech mama przeczyta je sama. Chcę, by Henryk wszystko usłyszał.

Justyna ujęła list drżącymi dłońmi i zaczęła czytać:

– Paryż, z wtorku na środę, 17 października, druga w nocy, 1849, Podwale 526. O mój najdroższy, już go nie ma – zdrowa jestem i Ludka – i ściskam Was w duszy. Pamiętaj o matce i Izabelli. *Adieu*.

Żona Pańska pielęgnowała go przykładnym sposobem. Bóg daje jej ogromne siły fizyczne i moralne. Kazała panu powiedzieć, że za parę dni napisze ze szczegółami. Prosi ona, aby Pan się nie troszczył o nią. Przyjaciele Chopina będą jej pomagali w ułatwieniu interesów, a co do drogi, mówi ona, że będzie mogła podróżować sama.

Kalasanty podszedł do Henryka.

– Widzisz więc, jak moja obecność w Paryżu zawadzała twojej matce. I dlatego urządziła z bratem tę całą hecę, abym się uniósł honorem i wyjechał. – Mówiąc to, Kalasanty odwrócił się do syna. – Idziesz ze mną.

– Tatusiu. Ja muszę zostać u babci!

– Dobrze. Zostań. Ale pamiętaj. Twój dom to Podwale...

Kalasanty wyszedł z mieszkania. Henryk chwycił Justynę w ramiona i zanosząc się szlochem, przytulił do serca. Potem ciężkim krokiem poszedł

za ojcem.

DWORZEC KOLEJOWY W WARSZAWIE

Ludwika wróciła do Warszawy 7 stycznia 1850 roku, dobrze po północy. Kalasanty nie czekał na nią na granicy. Na szczęście w podróży towarzyszyła jej Klementyna Matuszewska. W czasie Powstania Listopadowego, z uwagi na biegłą znajomość dwóch języków – niemieckiego i francuskiego, pełniła rolę tłumaczki w sztabie dyktatora powstania, generała Józefa Chłopickiego. W bitwie pod Wawrem wslawiła się udziałem w walce na bagnety przeciwko wojskom generała Paskiewicza. Za ten czyn została odznaczona krzyżem Virtuti Militari.

Nim Ludwika ją poznała, Matuszewska pracowała dla księżnej Marceliny Czartoryskiej. Gdy w oczekiwaniu na przyjazd siostry stan zdrowia Fryderyka pogorszył się gwałtownie i zaczęły go nękać problemy żołądkowe, księżna Marcelina Czartoryska przysłała mu ukochaną panią Matuszewską, aby czuwała przy nim w dzień i w nocy i gotowała mu delikatne posiłki.

Ponieważ pani Matuszewska zamierzała wrócić do Polski na stałe, Ludwika postanowiła zaproponować jej pracę w charakterze guwernantki. Jej ujmujący charakter i znajomość języków mogły stać się wielkim dobrem dla jej dzieci. Napisała o tym do Kalasantego. W odpowiedzi usłyszała groźbę, że jeśli odważy się przywlec „tę Matuszewską z jej Virtuti Militari przyklejonym do cycków, on wyrzuci ją na mordę za drzwi”!

Świadoma, że mógłby spełnić te groźby, po przyjeździe do Warszawy Ludwika najpierw pojechała do matki, aby tam zostawić panią Matuszewską i zobaczyć się z dziećmi będącymi na wychowaniu u babki.

Na jezdni leżał śnieg. Trzymał mróz. Z głębi ulicy nadjeżdżała dorożka z podniesioną budą. Zatrzymała się przy posesji 183b. Pierwsza wysiadła Ludwika, tuż po niej Klementyna Matuszewska, starsza kobieta. Ludka wychyliła się z siedzenia i patrząc na numer domu, zawołała:

– Mamo, to nie jest nasze mieszkanie! Tatuś będzie zły, że najpierw zatrzymujemy się u babci. Ja chcę do domu...

– Wracamy za kilka minut! – krzyknęła Ludwika do dorożkarza, wraz z Klementyną podążając w stronę bramy.

Odprowadzał ją krzyk Ludki.

– Tylko nie siedź tam jak zawsze godzinami mamó!

W mieszkania Justyny Ludwika trzymała kurczowo uchwyty podróżnej torby. Powiedziała do Justyny:

– To jest pani Klementyna Matuszewska

Justyna objęła Klementynę ze łzami w oczach.

– Jesteście zziębnięte. Zaraz dam wam gorącej herbaty.

– Nie, mamó. Dorożkarz czeka. Ludka też.

– Jak to? Nie chciała przywitać się z babką?

– Jest... zmęczona podróżą – mówiła Ludwika nerwowo.

Gwałtownie wstała i wybiegła z pokoju.

Kalasanty przywitał żonę podniesionym głosem. Potrząsał jej przed nosem zegarkiem i warczał groźnie.

– Jest druga w nocy. Pociąg był spodziewany planowo na dwunastą piętnaście. Sprawdzalem, ale jak sobie życzyły twoje księżne, zapewniając, że poradysz sobie sama, nie czekałem. Ale teraz jako mąż mam prawo zapytać: Co robiłaś tak długo?

– Byłam u matki, aby zostawić panią Matuszewską.

– I co dalej z nią zrobisz?

– Nie wiem... może znajdę dla niej jakąś pracę.

Ludka przytuliła się do ojca czule i zawołała:

– Tatusiu, jaka jestem szczęśliwa!

Kalasanty z czułością zdjął z niej płaszcz.

Do pokoju wszedł Henryk. Widząc, że matka stoi sama, ściskając konwulsyjnie w dłoniach uchwyty torby, podbiegł do niej, pomagając ściągnąć okrycie. Ale kiedy usiłował wyjąć z jej rąk torbę, Ludwika zawołała gwałtownie:

– Nie!

Zwróciło to uwagę Kalasantego. Podeszedł do żony.

– Co masz w tej torbie?

– Serce.

Kalasanty wyrwał jej torbę z rąk. Otworzył. W środku był przedmiot okutany miękkim materiałem. Rozszarpał to okrycie i wydobył dość duży kryształowy słoik, hermetycznie zamknięty. W przezroczystym alkoholu znajdowało się serce Chopina. Kalasanty był porażony sytuacją. Wydawało się, że rozszarpie żonę na kawałki. Ostatek sił stłumił furję.

Ordynarnie odezwał się do żony:

– W tej chwili jest procedowana moja nominacja na wysokie stanowisko radcy tytularnego. Kiedy namiestnik Królestwa dowie się, że jako mąż nie zapobiegłem popełnieniu przez żonę przestępstwa, może cofnąć swoje poparcie. Jutro wczesnym rankiem pójdziesz ze mną do Departamentu Inwigilacji w Pałacu Namiestnikowskim i zaraportujesz władzy o wykroczeniu. – Ujął w dłonie słoik z sercem Chopina. – A teraz zabierz ten śmieć i zejdź mi z oczu.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

DONOS KALASANTEGO

Pałac Namiestnikowski. Departament do Spraw Inwigilacji w rządzie piastował Mateusz Lubowidzki, wiceprezydent Warszawy.

Kalasanty był spięty, mówił z przejęciem.

– Proszę cię, Mateuszu, abyś zaprotokołował moje oświadczenie: *Ja, Józef Kalasanty Izajasz Franciszek Jędrzejewicz, sędzia pokoju, doktor prawa i profesor Akademii Rolniczej na Marymoncie, świadom przestępczego czynu, jakiego dopuściła się moja żona, Ludwika z Chopinów, informuję, że zrobiła to bez mojej wiedzy. Nie tylko odcinam się od tego, ale żarliwie potępiam jej działanie. I proszę o zastosowanie restrykcji przewidzianych literą prawa.*

Po złożeniu tego podłego oświadczenia Kalasanty opuścił gabinet. Lubowidzki zwrócił się do Ludwiki:

– Niestety, z uwagi na rangę przestępstwa do czasu rozstrzygnięcia sprawy na słoik może być nałożony policyjny areszt. – Lubowidzki przekazywał tę informację wyraźnie speszony.

– Chcecie mi odebrać serce brata siłą?

– Niestety, tak będzie, jak zadecyduje namiestnik.

Podwale. Ludwika szła przez amfiladę pokoi jak sparaliżowana. Usiadła bezradnie na krześle. Kalasanty pochylił się nad nią.

– Serce Chopina ma opuścić mój dom. Niech czeka na wyrok namiestnika gdzie indziej. Choćby u twojej matki.

Justyna ścisnęła w dłoniach słoik z sercem Fryderyka. W półmroku serce zanurzone w alkoholu wydawało się trochę zamglone. Trzymając słoik na wysokości oczu, Justyna zwróciła się w stronę stojącej na stole lampy. Postawiła słoik na blacie. Usiadła. Ludwika przysiadła się obok niej.

Justyna podniosła słoik do strumienia światła. Widziała serce ze wszystkimi detalami. Oczy jej zaszklily się, ale nie płakała. Kilka razy podnosiła słoik do oczu. Przekręcała to w lewo, to prawo, jakby się chciała

upewnić, że to, na co patrzy, jest prawdziwe. Powstrzymywała wybuch płaczu, nie mogła jednak zatrzymać łzy, która wydostała się spod powiek i spłynęła po policzku.

Po chwili postawiła słoik na stole i powiedziała do Ludwiki:

– Mówił mi nasz kochany proboszcz kościoła Świętego Krzyża, ksiądz Sotkiewicz, że zanim wmurowano na powierzchni kościoła serce Antoniny Hoffmanowej, najpierw umieszczono je w specjalnej skrzynce. Trzeba poprosić proboszcza o adres kogoś, kto i nam by taką skrzynkę zrobił.

W KOŚCIELE ŚW. KRZYŻA

Klemens Rembieliński miał osiemdziesiąt pięć lat. Poorana bruzdami twarz była okolona puklami siwych włosów, opadającymi kaskadami na ramiona. Zwano go pieśczośliwie „złotą rączką”, bowiem dokonywał renowacji mebli, lichtarzy, złotych odblaskownic i miniatur orderowych.

Ksiądz Eligiusz Sotkiewicz, osiemdziesięcioletni proboszcz kościoła Św. Krzyża, był atletycznej budowy. W męskiej, ogorzałej twarzy dominowały wyraziste oczy. Gęste włosy miał krótko ostrzyżone, na wzór wojskowy. Należał do niepokornych sług Kościoła, przywykłych mówić głośno to, co myślą. Do piersi sutanny miał przypięty krzyż Orderu Virtuti Militari.

Pan Klemens spoglądał na niego, wzruszony zadaniem.

– Urnę z sercem pana Fryderyka trzeba umieścić w drewnianej skrzynce. Najlepiej mahoniowej. Będzie gładko polerowana, a w jej wieko wpuszczę blaszkę w formie serca, na której wyryję napis zawierający dwie daty: urodzenia i zgonu naszego geniusza. Skrzynkę tę, dla ochrony przed wilgocią, otoczę płytami ołowianymi. Oczywiście serce pana Chopina

spocznie na powierzchni kościoła? Czy już ksiądz proboszcz wybrał miejsce?

Ksiądz Sotkiewicz odparł niepewnie:

– Taaaak... Tylko jeszcze nie rozmawiałem z władzami Kościoła.

Klemens niemal krzyknął:

– Nie powinno być trudności. A jak by znaleźli się w kurii biskupiej nieżyczliwi, radzę udać się natychmiast do arcybiskupa Dekerta. Był u mnie wczoraj i zamówił medal z podobizną pana Fryderyka. Wspominał dawne czasy, kiedy jako młody chłopiec bywał u państwa na na stacji. Radzę pani profesorowej natychmiast zwrócić się do niego po protekcję. A jak zajdzie potrzeba, to i o ochronę...

Pan Klemens w euforii artysty wyciągnął rękę w stronę siedzącej obok Justyny, która trzymała przy piersi słoik z sercem, okryty pluszowym pokrowcem.

– No a teraz... przepraszam za trywialność, ale muszę dokonać dokładnej miary słoika, aby dopasować do niego skrzynkę.

Justyna odkryła serce zanurzone w alkoholu. Twarz pana Klemensa stężała. Sięgnął po całówkę i zaczął mierzyć słój.

PRZESŁUCHANIE

Mateusz Lubowidzki spojrzał zza biurka na Justynę.

– Aby losom serca pani syna nadać właściwy bieg, trzeba odpowiedzieć pisemnie na następujące pytania: Dlaczego Chopin odmówił przyjęcia honoru Pierwszego Pianisty Cesarskiego Dworu? Jakie stosunki łączyły go z markizem de Custine'em, który był homoseksualistą? Dlaczego wyjechał z Polski, kiedy jego koledzy walczyli na polu bitwy? Jak naprawdę wyglądał związek Chopina z George Sand?

Twarz Justyny napięła się. Lubowidzki kontynuował pytania.

– Dlaczego nie przeszkadzało mu, że jest z kobietą pozbawioną moralności, jawnie walczącą z Kościołem? I wreszcie, dlaczego jako człowiek wychowany w duchu religii katolickiej nie przestrzegał sakramentu spowiedzi i komunii świętej?

Justyna wybuchła gniewem:

– Jak pan może wchodzić z butami do duszy mojego dziecka?

Gwałtownie wstała i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Ludwika siedziała w głębokim fotelu naprzeciwko księdza Sotkiewicza w zakrystii kościoła Św. Krzyża.

– Przed chwilą matka odebrała z kancelarii Lubowidzkiego pismo z pytaniami, które jej postawił w czasie spotkania. Do pisma jest dołączona notatka tej treści: „W razie odmowy współpracy będziemy zmuszeni położyć areszt policyjny na sercu Fryderyka Chopina”.

Ksiądz Sotkiewicz próbował ją uspokoić.

– To są puste groźby. Paskiewicz nie odważy się sprofanować serca geniusza, którego cenił cały świat.

– A jednak Pałac Namiestnikowski wyraźnie rozpoczął proces brudzenia Chopina. Choćby takie pytanie: „Jakie stosunki łączyły go z markizem de Custine’em, który był homoseksualistą?”. Ktoś wysiewa na miasto chmury ulotek. Któregoś dnia mały chłopiec wcisnął mi w dłoń karteluskę z wielkim nagłówkiem: „Wkrótce poznacie prawdziwą twarz Chopina”. Pod nim widniał opis jego orgii w rezydencji markiza de Custine’a.

Przesłuchiwana równie często jak matka, Ludwika nie była informowana, jakie środki prawne zostaną zastosowane wobec niej i serca Chopina. A do tego dochodziła sytuacja w domu.

Podniosła spłoszony wzrok na księdza Sotkiewicza.

– Po moim powrocie z Paryża życie z Kalasantym stało się piekłem. Wystarczyło, że pochwaliałam służącą, a on już ryczał: „Od rozdzielania pochwał w tym domu jestem ja!”. Ustalał, jak mam się ubierać, jak czesać. Zabraniał mi się malować. A na koniec oznajmił: „Nie wolno ci wydawać najmniejszych dyspozycji służbie”. Wychodząc z domu, wypisywał na papierze, jak ma wyglądać mój dzień. Kończył tak: „Jedynym panem w tym domu jestem ja”. Któregoś dnia po powrocie z sądu zobaczył mnie siedzącą nad albumem. Wklejałam artykuły, wzmianki i recenzje o Fryderyku. Ryknął ordynarnie: „Mówiłem ci już dwa razy, żebyś przestała zajmować się swoim bratem i poświęciła więcej czasu dzieciom”. Spytałam więc: A czy masz mi coś do zarzucenia jako matce? „Mam”. Mówiąc to, wyrwał mi z rąk album, pobiegł do kuchni, otworzył popielnik i spalił go.

Po chwili powiedziała zduszonym głosem:

– Chwilami jestem gotowa go zabić.

Przerażona swoimi słowami, wybiegła z zakrystii.

KURIA BISKUPIA

Ponadsześćdziesięcioletni archidiakon biskup Jan Dekert miał uduchowioną twarz o harmonijnych rysach, w których wyróżniało się pięknie sklepione czoło i wyraziste, niebieskie oczy.

Posiedzenie kurii biskupiej było w toku. Mówił kanclerz Helmut Rielke, przerażająco chudy, o wyblakłej twarzy ze sterczącym krogulczym nosem i płonącymi wielkimi oczyma oszalałego inkwizytora. Głos miał niski, donośny. W prostej linii potomek Savonaroli.

– Sprawa jest przykra! Żona czcigodnego doktora prawa, sędziego pokoju profesora Jędrzejewicza, nie godzi się, aby serce jej wielkiego brata spoczęło w podziemiach zamiast na powierzchni kościoła. Podczas gdy

prawo kanoniczne stanowi, że miejsca na powierzchni kościoła są przeznaczone dla świętych. Według mnie Chopin świętym nie był.

– Dlaczego więc serce Hoffmanowej zostało umieszczone ponad podłogą? Przecież też nie była świętą – odparował Dekert.

– To prawda – replikował Rielke. – Ale Hoffmanowa w czasie powstania listopadowego była organizatorką służby sanitarnej kobiet. Życie jej, wypełnione niesieniem pomocy ludzkim cierpieniom, było świętą misją i zasługuje na zaszczytne miejsce przeznaczone dla świętych! Fryderyk Chopin nie tylko nie brał udziału w powstaniu, ale opuścił Polskę dosłownie na minuty przed jego wybuchem. Co można uznać za ucieczkę.

Na ostatnie słowa kanclerza Rielkego ostro zareagował przewodniczący kurii biskupiej, biskup Karol Benjamin.

– Czy hierarchowie Kościoła nie zdają sobie sprawy, co świat muzyki by stracił, gdyby Fryderyk Chopin zginął od moskiewskiej kuli albo od bagnetu?

Kanclerz Rielke uśmiechnął się zjadliwie.

– To prawda. Kwestia, czy Chopin wyjechał, tak jak zaplanowano, czy uciekł z tchórzostwa, nie zostanie rozstrzygnięta nigdy. Bo będzie to tylko słowo przeciwko słowu. Ale czy można zaprzeczyć, że wieloletnia towarzyszka życia Fryderyka Chopina była osobą zbrukaną miłosnymi skandalami?

A ponadto pogardą dla Kościoła i jego sakramentów?! Wystarczy zajrzeć do jej twórczości literackiej, aby zobaczyć zajadłe spory z religią i wściekłą pogardę dla kleru. I dlatego nawet przy największej miłości dla naszego genialnego rodaka nie uniknie się pytań, jak dalece odpryski grzechów George Sand pobrudziły Chopina i oddaliły od wizerunku świętości pojmowanej przez Kościół.

– Tak jak Hoffmanowa była świętą w pełnieniu swojej samarytańskiej misji wobec umierających i rannych, tak Chopin był świętym muzyki – odparł Dekert podniesionym głosem.

– Słowa waszej ekscelencji są bluźnierstwem. Ci, co dobrze go znali, wiedzieli, że nie był religijny i nie przestrzegał kościelnych nakazów. Ponadto, z jednym drobnym wyjątkiem, nie tworzył dzieł, które można by zaliczyć do gatunku muzyki religijnej.

Dekert przez chwilę milczał, po czym patrząc prosto w twarz kanclerza Rielkego, rzucił:

– Muzyka Chopina była inspirowana natchnieniem, jakim obdarzał go Bóg! Dlatego pytam was, ojcowie, jakim prawem członek kurii biskupiej w Warszawie, który jest pośrednikiem człowieka z Bogiem, ma odwagę oskarżyć Chopina, że z jednym drobnym wyjątkiem nie stworzył dzieł, które można by zaliczyć do gatunku muzyki religijnej, podczas gdy każda jego nuta jest przesiąknięta natchnieniem, które nie może się narodzić bez namaszczenia Bożego?

Rielke uśmiechnął się cynicznie. Dekert podszedł do niego i zaglądając mu śmiało w oczy, powiedział bez złości:

– Kanclerzu Rielke... To jest niegodne – walczyć z sercem umarłego geniusza, który nie potrafi się już bronić!

Tego samego dnia Dekert powtórzył księdzu Sotkiewiczowi niemal co do słowa swoją bitwę z Rielkem. Ten złożył ręce jak do modlitwy.

– Amen.

Archidiakon uśmiechnął się.

– Aby wykluczyć jakiś haniebny gest Lubowidzkiego, wyjednałem u biskupa Benjamina pozwolenie, by do czasu wmurowania urny ponad kościelną podłogą, o co będę zabiegał do ostatniego tchnienia, umieścić ją w katakumbach kościoła Świętego Krzyża.

Dostępne w wersji pełnej

SPIIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spis treści

Część pierwsza